

Wojciech Karpiński

Pomiędzy

fragment

Pociąg ruszył o czasie. Powoli sunął wąskim tunelem, ciągnąc za sobą nieprzyjazną woń chłodnego peronu. Po kilku minutach wyjechał z półmroku na dzienne światło, które silnymi promieniami wdarło się do przedziału. Przysłoniłem okno roletą. Tak szybko przyzwyczaiłem się do tej drobnej dogodności nowych składów, do braku zasłony nasiąkniętej stęchlými zapachami, połączonymi z brudem jakby konstytucyjnie wpisanym w wagon starszej generacji. Przykryta słoneczną płachtą *Pesa* nabierała prędkości, zupełnie niepotrzebnie, bo gdyby za bardzo się rozpędziła, to pominęłaby w swoim rozkładzie Dworzec Warszawa Zachodnia.

Aleksander miał wsiąść na Zachodnim, przynajmniej tak zapowiedział, kiedy rozmawialiśmy poprzedniego wieczoru. Nie wiedziałem, dlaczego się uparł na tę podróż pociągiem, ale niespecjalnie mnie to dziwiło, gdyż od dawna miał w nietuzinkowe pomysły. Ufałem, że i tym razem ma sensowne wytłumaczenie dokonanego wyboru. Właśnie sięgałem po komórkę, kiedy Aleksander wbiegł do wagonu. Wrzucił torbę na półkę, chlapaną na siedzenie, wyciągając z kieszeni kurtki małą butelkę z wodą.

– Mało brakowało, a bym się nie wyrobił – powiedział przeraźliwie dysząc.

– Możesz mi wreszcie wyjawić, dlaczego jedziemy do Wrocławia pociągiem? – spytałem zniecierpliwiony.

– Powinieneś się cieszyć. Chociaż raz zrobiłem coś według twojej teorii niepotwarzalności. Przecież stale próbujesz mi wmówić, że jeśli nie zmienimy szczegółów w naszej codzienności, to stracimy je bezpowrotnie. Więc dzisiaj jedziemy pociągiem, a nie samochodem, żeby było inaczej niż dotychczas.

Miał charakterystyczną twarz, której nie opuszczał stonowany, ale stały uśmiech. Nie maskował nią frustracji czy zubożenia, jak to czynią ludzie w depresji. Taki miał po prostu układ mięśni górnej wargi.

– Aleksandrze, proszę cię, poważnie, skąd ten pomysł podróży koleją? – próbowałem drażnić.

– Mój przyjacielu, zgodnie z umową jedziemy na zdjęcia scen końcowych, z których ostatnią mamy nakręcić w pociągu, czy tak? Żeby ją zrozumieć, aby później pokazać widzom z emocjami i przesłaniem, opisanymi w scenariuszu, powinniśmy ją wnikliwie rozważyć. Czuję, a nawet jestem tego pewien, że scena końcowa może mieć kluczowe znaczenie. Inaczej położymy cały film. Ona przecież wyjawia tajemnicę skrywaną we wcześniejszych ujęciach.

Zastanawiam się nad tym, czy skupić się na dialogu, czy nawet z niego zrezygnować, filmując tylko wyraz twarzy dyrygenta odbity w szybie. Twarz jako fragment mówi więcej aniżeli całość postaci. Myślę o długim ujęciu, bez muzyki. Specjalnie. Brak muzyki jako rzeczy jakby utraconej przez dyrygenta mógłby mieć znaczenie symboliczne dla dramaturgii tego kadru. Tłem będzie wieczór za oknem. Czy bohater musi ujawniać swoje nastroje wyłącznie w dialogu? Zastanów się! Nie po to wybraлиśmy aktora, który umie grać twarzą jak nikt inny. Przypomnij sobie pierwszą scenę z filharmonii, początek symfonii. Dyrygował całym ciałem, oczami. Zbliżenia na twarz były znakomite, niezwykle wiarygodne. Wtedy pomyślałem o niemym zakończeniu sceny w pociągu, czyli bez dialogu.

– Wiesz, może nasz filmowy przekaz będzie prostszy i tym samym bardziej zrozumiały – próbowałem riposty. – Po kilku zdaniach, które masz podkreślone w scenariuszu, myślę, że pokażemy dostatecznie wyraźnie jego lęk przed najbliższą przyszłością, a zwieńczeniem może być oczywiście odbicie twarzy w oknie. W sumie uzyskamy jasność wyrazu.

– Jestem ciekaw, jak odbiorą to widowie? – zastanawiał się. – Żeby istniał sposób na sprawdzenie tego... Publiczność w kinie jest anonimowa, nawet na festiwalu, kiedy klaszcze zgodnie po projekcji, bo

taki jest zwyczaj. Zbiorowość jest zdolna do wspólnego zachwytu. W oklaskach nie ma jednak wypowiedzi osobistych. Myli się ten, kto twierdzi, że publiczność w kinie jest przewidywalna, może w teatrze tak, ale nie w kinie. Widzowie przychodzą do kina po przeżycia. Wybór i przygotowanie wrażeń należy do nas – do ciebie, do mnie, zespołu aktorów, a odczucia do widzów. W ten sposób następuje reakcja wobec naszych intencji. Każdy ma indywidualną warstwę wrażliwości. Ludzie kupują bilety, żeby obejrzeć sfilmowaną historię z nadzieją, że została stworzona dla każdego z osobna. Chyba zgodzisz się ze mną, że bardziej wymagający widz oczekuje od nas stawiania ważnych pytań bez odpowiadania na nie. Jeśli pokażemy wzruszenie naszego kompozytora wyłącznie poprzez wyraz jego twarzy, pozostawimy więcej wyobraźni widza. Może to jest sprawa szacunku do niego. Na spotkaniach po projekcji filmów moglibyśmy usłyszeć znacznie więcej, gdybyśmy siedzieli po stronie widzów i zadawali im pytania. Dotychczas nikt na to nie wpadł.

– Aleksandrze, myślę, że za każdym razem chodzi o to samo, czyli o środki wyrazu. Chcemy pokazać do czego może doprowadzić niemoc twórcza. Kompozytor, który nie potrafi dalej tworzyć muzyki, a ona pulsuje w jego krwi, wypełnia całkowicie myśli – przeżywa tragedię. Nie znajduje dla siebie żadnego rozwiązania, stąd jego niepokoje. Może to nie jest całkiem adekwatna sytuacja, ale pamiętasz, jak Stuhr mówił w jednym z licznych wywiadów o niedoskonałości środków wyrazu przy filmowych próbach pokazania śmierci Chrystusa?

– Wielu twórców na pewnym etapie jest dotkniętych niemocą lub jej lżejszą

postacią, czyli zwątpieniem. Niektórzy nie chcą powtarzać zrealizowanych pomysłów. Przypomnij sobie – tego obawiał się Kieślowski, który po nakręceniu *Czerwonego oświadczył*, że jest zmęczony i nie będzie więcej robić filmów. A Zanussi, odrzucony przez publiczność w kraju po filmach, które na świecie uchodziły za dobre, w swojej książce *Pora umierać* napisał, że: „każdy twórczy człowiek w sile wieku przeżywa jakiś kryzys”¹. Tę książkę dostałem od ciebie kilka lat temu na urodziny.

– Nie musisz mi przywoływać wielkich refleksji, ja też przeżywam niepokoje. Pisałem wiersze. Zapewniłem im rytm, klasyczne metafory z tytułami szlacheckimi, wersy z dźwiękami i barwami. Opisałem wszystkie odcienie jesieni i wiosny. Miałem ambicje tworzenia piękna. Sięgnąłem nawet po elegię. Wierzyłem, że choć w pewnym stopniu uczestniczę w wyjaśnianiu świata, unosiłem się ponad to, co jest widzialne. I co? I nic! Za mało nowatorskie – mówili niby znawcy. W międzyczasie na konkursach zwyciężał język dosadny, kanciasty, proza niezręcznie adaptowana na potrzeby poezji, niespójne ciągi zdaniowe. Innymi słowy literacki śmietnik. Teraz nie mam w sobie radości, więc jak mogę tworzyć? Od niedawna nie jestem w stanie niczym zapłodnić swojej fantazji. Pustka. Potrafisz to sobie wyobrazić? Wychodzę na spacer z psem, z tym nowym, którego wzięłem ostatnio ze schroniska, po godzinie wracam tylko z jedną frazą. Asnyk udawał się na spacer po krakowskich Plantach i powracał z gotowym wierszem. Gdybym nie wychodził z psem, nic bym nie napisał, rozumiesz? Jeśli poezja jest aktem narodzin słów z natchnienia, to ja go już nie mam albo miewam okazjonalnie, jak każdy śmiertelnik na potrzeby składania

życzeń imienninowych lub świątecznych. Jak zaczynałem pisać, to liczyłem na twórczą nieśmiertelność. Przeliczyłem się.

– Chyba przesadziłeś, przecież nie tak dawno napisałeś książkę – powiedział, chcąc złagodzić mój pesymizm.

– Jaką książkę, Aleksandrze, jaką książkę – biografię, a dokładniej fantazję biograficzną, więc nie ma o czym mówić. Smętne opowiadania, momentami w formie spowiedzi chłopca z podstawówki. Kto będzie czytać biografię mało znanego człowieka? Gdybym chociaż pokazywał prognozę w telewizji lub gotował przed kamerami, czyli miał twarz medialną. Nie mówiłem ci jeszcze, że napisałem kilka opowiadań bez zakończenia. Rozpocząłem je, z trudem rozwijałem, a dalej było coraz gorzej. Leżą w szufladzie.

– Przecież twoja książka miała świetne recenzje – kontynuował.

– Obaj wiemy, jak się pisze recenzje, i ile mają wspólnego z rzeczywistością wartości dzieła. Swego czasu nasz wspólny znajomy, po kilku drinkach, powiedział mi, że może załatwić jakąś recenzję w poczytnych pismach literackich. Wymienił nawet obowiązujące stawki. Nie skorzystałem. Moją opowieść recenzowali natomiast znajomi, czyli ludzie, którzy znają mnie osobiście, więc też nie mam pewności, czy byli w pełni obiektywni. Książka zaczęła się sprzedawać po obniżce ceny.

– A nasz wspólny scenariusz? – starał się mi delikatnie schlebiać.

– Piliśmy whisky, ja mówiłem, a ty pisałeś i to nie do końca to, co mówiłem. Ten scenariusz jest bardziej twój niż mój. Nawet zastawiam się, czy samodzielnie nie zrobiłbyś tego lepiej. Może starasz się mi pomóc, ale ja czuję, że zaczynam obumierać. Nie mam ochoty turlać się do emerytury, sprawdzając tony tekstów w wydawnictwie. Tam jestem prawie męczennikiem,

¹ Krzysztof Zanussi, *Pora umierać*, Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 1999, s. 8.

cd. ze str. 31.

choć kiedyś miałem satysfakcję z porywania cudzych opowieści. Aktualnie przyszła moda na pisanie dla kobiet, moim zdaniem z naruszeniem ich godności, co druga strona z powołaniem się na Freuda, niemal wszystko sprowadzone do seksu jako motywacji życiowej, sposobu na szybki relaks pracocholików lub luksusowego środka płatniczego z udziałem ludzi bardziej zamożnych. Wyobraź sobie, że dwa tygodnie temu dostałem propozycję napisania książki o jednym z najwybitniejszych współczesnych kompozytorów, pochodzących z Podlasia.

– Chcesz powiedzieć, że o...

– Tak, tak, właśnie o nim i wyobraź sobie, że zamiast zadowolenia dotknął mnie najpierw paraliżujący lęk, czy podołam, który wprawdzie zelżał po kilku dniach, lecz pozostawił bezsenność poranną, czyli od czwartej względnie w pół do piątej. Wielu autorów nie może przekonać wydawnictwa o swoim talencie, wydaje książki za własne pieniądze, a mnie proponują zaliczkę oraz przyzwoite honorarium. I w tym momencie intelektualna część mojego organizmu odpowiada: nie. Nie myślę o tym, czy napisać, ale jak odmówić. Jestem w całkowitej rozsypce.

Aleksander patrzył na mnie z niepokojem. Nawet jego szelmowski uśmiech stał się mniej wymowny. Zorientowałem się, że zaczyna mnie porównywać z bohaterem naszego filmu. I miał rację. Obaj mieliśmy ten sam rodzaj wewnętrznego niepokoju.

– Widzę, że jesteś faktycznie głęboko przejęty. Tak to jest z artystycznymi profesjami. Są niepewne, ale nie zdręczaj się – zawsze tak było. Jedni mają długie przerwy w tworzeniu, inni zachowują siłę twórczą, a ich biurka są zavalone znakomitymi scenariuszami, na które nie ma pieniędzy. Na to nie ma żadnych tabletek. Ale ty masz stałą pracę w wydawnictwie, lepszą czy gorszą, ale masz. Przecież własna twórczość nigdy nie była u ciebie na pierwszym planie.

– Nie pocieszaj mnie w ten sposób – zachnąłem się.

– A może powinieneś wziąć urlop, gdzieś wyjechać? Zmiana miejsca przewietrza dryfujące myśli. Jedną z naszych aktorek, kiedy nie ma czasu na dłuższy wyjazd, to wynajmuje pokój w hotelu na dwa dni, przez co zyskuje świeżość, poprawia sobie nastrój, mimo że nie spędza tych chwil w jakiś szczególny sposób. Kiedy ją zapytałem, co robi w hotelu, to odpowiedziała, że czyta, chodzi na basen i do baru. Wiem z branży, że pojawił się pomysł nakręcenia filmu w miejscach ko-

jarzonych z Grekiem Zorbą. Jakiś milioner z Grecji ożenił się z Polką, a ta, podobno miłośniczka kina, podsunęła mu pomysł z filmem. Szukają kogoś, kto napisze dobry scenariusz. Od razu pomyślałem o tobie. Właśnie dzisiaj miałem ci o tym powiedzieć. Przy okazji może odwiedzisz swoją ulubioną Kretę. Jeśli chcesz, to mogę zaraz zadzwonić do kogo trzeba. Zastanów się, a ja pójdę w tym czasie coś zjeść do restauracyjnego – klepnął mnie po ramieniu. – Chyba, że ty masz ochotę? – dodał, otwierając drzwi wagonu.

– Dzięki, idź sam – odrzekłem.

Wieczór przylgnał do okien pociągu. Okno jak kamera zatrzymywało przez ułamek chwili fragment otwartej przestrzeni. Wyraz twarzy kompozytora odbity na takim tle można dopełnić wewnętrznym monologiem – pomyślałem. Tak, to jest świetny pomysł. Czekalem, aby podzielić się nim z Aleksandrem. Wreszcie poczułem ulgę, że znalazłem rozwiązanie końcowej sceny. I ten pomysł z pisaniem scenariusza na Krecie, początkowo przyjęty przeze mnie jako abstrakcyjny, zaczął coraz wyraźniej wyświeślać się w moich myślach. Rozluźniłem się. Ułożyłem wygodnie głowę w zagłówku fotela, zamykając na chwilę oczy podrażnione nieprzyjaznym blaskiem jarzeniówek...



WOJCIECH KARPIŃSKI

– urodził się i mieszka na Podlasiu, z wykształcenia prawnik i administratywista. Autor książek oraz artykułów poświęconych problematyce prawnej. Zadebiutował książką poetycką *Drugi brzeg*. O jego drugim tomiku *Lubię gdy ramiona drzew zasypiają* Wadim Brodski, światowej sławy skrzypek, napisał: „Między strofami poezji Wojciecha Karpińskiego słychać piękną, subtelną muzykę”. W 2018 roku ukazał się jego tomik *Za*

progiem wyobraźni. Ma na swoim koncie publikacje w „Angorze”, „Kurierze Porannym”, miesięczniku „Akant”, liczne spotkania autorskie i wywiady. Jego książka *W ogrodach snów* była prezentowana na antenie Polskiego Radia Białystok w interpretacji Ryszarda Dolińskiego. Obecnie pracuje nad zbiorem opowiadań. O sobie mówi, że z czasów dostępnych najbardziej interesuje go przyszłość.

foto: Justyna Sawczuk